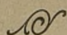
ŚWIT

PISEMKO UCZENIC GIMNAZJUM im. H. KAPLIŃSKIEJ.

ROK VII. Nr. 3 – 4.

KRAKÓW, listopad—grudzień **1931** roku.



Skoro się coś posiada, trzeba sobie tem wynagradzać wszystko czego się nie posiada.

Orzeszkowej.

Okładkę wykonała J. KUCHCIŃSKA.

U wrót jesieni.

Krwawą purpurą zaszło słońce
Za ciemne zwały chmur
I zapaliło czerwień łuny
W dali, na grzbietach gór.

Ciszą objęta szara ziemia
Układa się do snu...
Wieczór wyciągnął blade ręce
I wolno zdąża tu.

Omotał swoje wiotkie palce
W srebrzystą, cienką nić
I pod tę jasną, miękką siatkę
Ziemię i świat chce skryć.

Więc leci cicho z jego dłoni
Pajęczy, biały włos...
I ziemia wzdycha, — a ktoś nad nią
Modlitwę mówi w głos.

J. Mieszkowska.

Mój jubileusz.

Z początkiem listopada obchodziłam mój pierwszy jubileusz. Dziesięć lat upłynęło od chwili, gdy jako uczenica drugiej klasy powszechnej przestąpiłam pierwszy raz próg naszej szkoły. Od tego czasu przestępowałam go codzień. Ile już dni spędziłam w szkole! Ile razy wracałam do niej po wakacjach! Ileż wspomnień łączy mnie niemal z każdym sprzętem szkolnym! Jedne z najmilszych lat, to czasy spędzone w małej sali „na górze“ gdzie uczenice wszystkich klas normalnych razem miały lekcje. Pamiętam doskonale mój pierwszy dzień w szkole, pamiętam strach przed nowem otoczeniem, nową Pania i koleżanki.

Uczepiona ręki Mamusi, schodziłam z biciem serca po schodach na drugie piętro, aby zaprezentować się Pani, o której już dużo słyszałam od mojej siostry, wówczas uczenicy kl. II. gimnazjalnej.

Weszłam do klasy, otoczyły mnie nieznane twarzyczki moich przyszłych koleżanek, posypały się dziecinne pytania, byłam odurzona i oszołomiona, tak, że pierwszych chwil zupełnie nie pamiętam, wiem dopiero, jak ciężko zrobiło mi się na sercu, gdy patrzyłam na zamykające się za mamusią drzwi. Z początku zalewałam się łzami, gdy Mamusia odprowadziwszy mnie do szkoły wracała sama, albo siostra po pauzie odchodziła do innej klasy, ale powoli ciepła domowa atmosfera, która cechowała lekcje „malutkich“ zwyciężyła. Odtąd wychodzi tam z domu bez płaczu, a po każdych wakacjach wracałam z radością do szkoły, aby powitać swoją drogą Panią, jaką była dla nas wszystkich p. K.—Nie zapomnę nigdy, że właśnie dzięki Jej dobroci i prawdziwie macierzyńskiemu stosunkowi wyniosłam tyle miłych wspomnień z pierwszych lat w szkole.—

Pamiętam, że w dzieciństwie odróżniałam lekcje „ciepłe“ i „zimne“. Do pierwszych należały wszystkie lekcje z p. K. toteż z żalem patrzyłam jak odchodziła do innej klasy z dzwonkiem i zegarkiem a do nas przychodziła Pani „od rachunków“. Wtedy było mi naprawdę b. zimno.—

Ileż to tragedyj rozgrywało się w tej klasie! Jedną z największych to moja pierwsza (ale nie ostatnia) dwója w życiu: „Zryłam“ z tabliczki mnożenia. Dziwię się, że wtedy cały „przybytek malutkich“ nie odpłynął jak arka Noego, tyle łez wylałam, sądziłam w tej chwili że nieszczęśliwszej istoty odemnie niema na całym świecie, a przynajmniej w szkole.—

Druga tragedja to „proza“ o królowej Jadwidze. „Prozę“ miałyśmy zawsze zadaną na czwartek, było to kilka linijek z książki na pamięć. Otóż takiej właśnie prozy zapomniałam się nauczyć i mimo zapewnień p. K. że dwóji nie dostanę znowu zapuchłam od płaczu i aż obiadu nie jadłam z rozpaczy.

Ale zato z jakąż radością i dumą niosłam po skończeniu 2 giej klasy, pierwszą w mojem życiu nagrodę w postaci książeczki o „Babie Jadze“ którą do tej pory mam schowaną pieczołowitością i od czasu do czasu czytam. Razem z tą książeczką przechowuję kilka zeszytów z „normałek“, zawierających odpisy z książek, dyktanda i ćwiczenia. Żeby to teraz mieć tyle bardzo dobrych ile tam wypisane!

Najmilsze wspomnienia z tych „sielskich anielskich“ czasów łączą się z uroczystością imienin naszej Pani. Przypadały one w maju, to też cała sala tonęła w bzie, narcyzach i innych wiosennych

kwiatach. Do dzisiejszego dnia, pamiętam pierwsze zwrotki wierszyku z życzeniami, wiem, że było tam coś o maleńkich dzwonkach i naszych wdzięcznych dla Pani serduszkach. Byłam przejęta ważnością chwili i przyciskałam do serca wazonik z niezapominajkami w obawie, że i wierszyka zapomnę i kwiatek z rąk wypuszczę. W taki dzień nie było zwykle lekcji tylko cała „góra" bawiła się doskonale, czego „dół" słuchał z zazdrością.—

Zapomniałam jeszcze jednej tragedji, jaka rozegrała się, gdy pierwszy raz brała nas do badania pani doktór. W dzieciństwie miałam dość dużo spotkań z lekarzami i doprawdy nie mogę zrozumieć, co mi się nagle stało. Widziałam przecież, że moje koleżanki wracają z tej „wizyty" zdrowe i całe, mimo to uparłam się, że nie pójdę a gdy upór chciano zwalczyć nie płakałam, ale „ryczałam" w niebogłosy. Ostatecznie nie poszłam tego dnia do badania. Poszłam na drugi dzień, ale czułam się nieszczęśliwą i pamiętam, że nie mogłam rozwiązać butów, tak mi się łzy w oczach kręciły.

Wreszcie upłynęły 3 lata, zdałam egzamin do I. kl. gim. Bałyśmy się okropnie (tak jak teraz matury), najgorsze było to, że nie pytała nasza Pani, ale inna, obca. Ostatecznie egzamin wypadł dobrze dostałam czapkę i legitymację. Z początku byłam szalenie dumna z nowej godności gimnazjalistki, ale gdy wróciłam po wakacjach nie do naszej klasy, z jakąż zazdrością patrzyłam na dziewczynkę, siedzącą na mojem dawnem miejscu i na to, że Pani miała „ciepłe" lekcje nie z nami.—

Szczęśliwe, dobre czasy, minęły tak prędko! I dziś kiedy już jestem w VIII. kl. i może niedługo opuszczę szkołę, nieraz gdy patrzę na malutkie, widzę na tablicy te same tematy zadań, które niegdyś pisałam, z chęcią chciałabym się choć na chwilę stać małą uczenicą p. K., tak miło spędzać czas w szkole, a w domu opowiadać o tem, co Pani powiedziała, cieszyć się czemkolwiek, a wieczorem zasypiać tak spokojnie...

Nusia Mikucińska. kl. VIII.

Z mojej wakacyjnej podróży po Włoszech i Francji.

(II. Francja) Na Jasnym Brzegu.

Ranek wstał świeży i jasny choć nieco pochmurny. Podmuchy wiatru zrywały się chwilami, szarpiąc niemiłosiernie rozwianemi drobnemi gałązkami eukaliptusów i gnąc wysmukłe, wachlarzowate kiły palm. Jakiś niepokój wisiał w powietrzu.

W taki to poranek jeden z tych nielicznych na Jasnym Brzegu, który słynie zwykle z przysłowiowej pogody, wielki błękitny autobus uwoził mnie z Juan-les-Pins do Monte-Carlo... Droga szła brzegiem morza, z początku doliną, od Nizzy wznosząc się coraz wyżej i wyżej.

U stóp legło ciche cudne szafirowe morze gładkie i niepomarszczone falami, jakby śpiące... mimo, że górą wiatr przechodził urwany gwałtowny. Na horyzoncie, skróś chmur wychylające się słońce znaczyło na ciemnej płaszczyźnie wód, złocistą smugę...

Minęliśmy już Eze, tonące w zieleni ogrodów, Beaulien, ze swemi przecudownie malowniczemi skałami, spadającemi dziko, w poszarpanych grzbietach ku morzu, daleko został za nami przylądek St. Jean-Cap-Fezzat, przesunęło się przed oczyma Ville franche, wojenny port francuski, wciśnięty między duże, daleko w morze, wysunięte skały...

Przed nami zamajaczyło Monaco, leciuteńko owinięte mgłą, prawie przeźroczystą... Dojeżdżaliśmy... Jeszcze duże, szerokie serpentyny i końcowa stacja Monte Carlo... Autobus stanął...

Kasyno w Monte Carlo, zamknięte w porze obiadowej, z pozasuwanemi roletami, drzemało w pustce, zlekka tylko chwiały się rosnące koło niego palmy, delikatnym szmerem przerywając ciszę... Pozostawiłam więc kasyno za sobą i podążyłam do zębatej kolejki, która miała mnie wyciągnąć aż do la Turbie, skąd cudowny widok na całe Monte Carlo, Monaco aż hen po Mentonę i Bordigherę, granicę włoską...

Na Gare du fuiculaire stała już kolejka o dwóch maleńkich wagonikach, sapiąc i dmuchając. Ostry gwizd zwiastował nam nareszcie odjazd... Zębate koło zaczęło zwolna się poruszać wciskając się w środkową szynę i dźwigając nas w górę. Olbrzymia przepaść rozstąpiła się przed nami, mignęło szereg kwitnących kaktusów, po-

przyczepianych przedziwnie do skał i zwieszających się nad przepaścią... Lecz nagle obniżyły się chmury, wiszące dotąd nad szczytami, na które tak mozolnie wynosiła nas maszyna kolejki i gęsta wilgotna mgła siekąca jak deszcz, otuliła nas zakrywając okolicę.. A tymczasem na dole prawie u naszych stóp, działy się cuda Przez szeroką szparę między chmurami, wychyliło sie słońce i oblało złotem wysunięte w morze Monaco i jaśniejące bielą jezdni, drogę do Monte Carlo. Zamarłam w zachwycie. Nademną tymczasem, kapał niemiłosierny deszcz.

Po powrocie do Monte Carlo, przeszłam przez wspaniale utrzymany „Jardin du Casino" i skierowałam się ku Monaco. Przed pałacem księcia warta trzymała straż, „przeraziłam" się zatem, zwłaszcza, że ta straż miała mocno urzędowe j nieprzystępne miny i skierowałam się odrazu do Muzeum oceanograficznego. W aquarium oniemiałam z podziwu. Ukazały mi się tu bowiem najoryginalniejsze okazy fauny morskiej. W jednej przegrodzie spoczywały spokojnie korale, w drugiej maleńkie króliki ruszały długiemi wąsikami spacerując swobodnie po dnie morza, tu znowu pływały śliczne, błękitne ryby, pławikoniki, poruszały się chwiejnym ruchem liljowce, ukwiały, leżały leniwo rozgwiazdy i gąbki, a ruchliwe mątwy wyciągały swoje śliskie machi za szybami aquarium...

A z otworu w podłodze bieliła się w dole, o kilka pięter pod stopami przepaść zasłana skalnym złomem i morską pianą, w którą leciutko rozpływały się nadbiegające wciąż fale.

Ściemniało się... Zdobywszy z trudem miejsce w autobusie ruszamy. Wiatr zaczyna dąć coraz silniej, a nad nami kłębią się olbrzymie coraz czarniejsze chmury... Powoli zapalają się światła, zjeżdżamy coraz niżej i niżej.

Nagle lęk jakiś chwyta za serce... Przed nami olbrzymia chmura pędząc ku nam z nieprawdopodobną szybkością zaczyna obniżać się coraz więcej, aż wreszcie dotyka poziomu morza, które wściekle wzburzone podskakuje ku niej, a potem jak oszalałe skacze ku brzegom. Robi się natychmiast noc, a wśród ciemności, w których nie widać nic o kilka kroków, wjeżdżamy zupełnie jak do jeziora. Koła autobusu ślizgają się po mokrym asfalcie zaczynają szalonym pędem staczać się w dół... A tam, w dole migocą zdaleka prawie niewidoczne światła Nizzy...

Późnym dopiero wieczorem mijając już Antibes, starożytną fortecę i port, zostawiliśmy ulewę za sobą.

Wędrując przez uciszone uliczki Juan, które srebrzył cudownie księżyc, nie wierzyłam, że to dziś jeszcze było to oberwanie chmury które zalewało nam powrotną drogę.

A palmy chwiały na wietrze swojemi ciemnemi wachlarzami, rysując się ostro na tle jasnej, księżycowej tarczy... Morze drzemało już ciemne i sennie zaledwie szmerem drobniutkich fal przerywało ciszę.

Ponad cały ten egzotyczny krajobraz leciała w niebo w ten sierpniowy wieczór bezsłowna modlitwa za daleką, północną Ojczyzną, taką inną, a taką przecież bardzo kochaną.

J. Mieszkowska.

Co to jest osiedle?

Irka: uczenica kl. VIII.
Zosia: „ kl. VIII. G. K.

Irenka: Serwus Zośka! Cóż to nie poznajesz koleżanek? Chodzisz taka zamyślona. Już drugi raz w tym tygodniu spotykam Cię na ulicy a Ty mnie nawet nie obdarzyłaś łaskawem spojrzeniem!

Zosia: Jak się masz! Jak to świetnie, że Cię widzę! Mam ci całą furę do opowiadania. Nie gniewasz się chyba, że Cię nie widziałam? Wiesz przecież, że jestem taki ślepowron.

Irenka Ależ nic podobnego! Zaczepiłam Cię ot tak ze zwykłej ciekawości. Słyszałam, że wasza buda coś tam założyła gdzieś w Rudawie.

Zosia: Ach Irko! żałuj, że Cię między nami niema!

Irka: No dobrze! Domyślam się, że to jest cudowne itd., no ale cóż za cel? poco? naco? Jeszcze o czemś podobnem w Krakowie nie słyszałam!

Zosia: Bo też to jest pierwsze Osiedle w woj. krakowskiem. Jakie są jego cele i zadania, to dużo o tem mówić!

Irka: No dobrze, dobrze! Przecież nie żądam od Ciebie żadnego wykładu filozoficznego, tylko mi tak na nasz rozum krótko powiedz, co to jest i czy to coś warte?

Zosia: To ci powiem. Stoimy na progu wielkiej przemiany naszej szkoły. Przemianą tą jest osiedle, które ma spełnić przedewszystkiem wiele zadań wychowawczych obok nauczania. Mamy więc w Rudawie dom z ogrodem, do którego kolejno każda klasa wyjeżdża na tydzień. W ten sposób jesteśmy w ciągu roku szkolnego miesiąc cały „na łonie natury".

Irka: No, a jakże ten dom wygląda, gdzie śpicie i jak stoi sztuka kulinarna? (jedna z najważniejszych rzeczy)?

Zosia: Wszystko w porządku: willa okazała, sypialnie królewskie, kuchnia wykwintna, wszystko według życzenia i... możności.

Irka: A czy rzeczywiście Osiedle może odgrywać tak doniosłą rolę w życiu ucznia, jak mu przypisują?

Zosia: Może i powinno. Pomyśl, jak korzystnie oddziaływa na duszę młodzieży już sama możność zmiany miejsca pobytu, odetchnięcia szerokim wiewiem pól i lasów, obcowanie na szerszą skalę z naturą, która posiada przecież tak kojący wpływ na każdego bezwzględnie człowieka. Uprzytomni też sobie, że taki wielki teren pozwala na różnorodne sporty, które prócz tego, że dają wielką dozę przyjemności, wzmacniają też siły fizyczne młodzieży.

Irka: A jaki jest regulamin i wogóle cały zarząd?

Zosia: W tym kierunku uczenice posiadają szerokie pełnomocnictwo: same pilnują przestrzegania rozkładu godzin, wybierają sobie przewodniczącą i dzielą między siebie poszczególne zajęcia same wreszcie troszczą się o wprowadzenie pewnych urządzeń w swej willi „pod Wieżyczką".

Irka: Wobec tego sprawa stoi nieźle. Bezwzględna wolność i swoboda...

Zosia: To z zastrzeżeniem. Ta swoboda i wolność nie powinna wychodzić poza pewne granice. Ale tutaj wchodzi już w grę ambicja i honor danej klasy, aby się jak najlepiej przedstawić i coś zdziałać. A młodzież obdarzona samorządem i zmuszona do samowystarczalności, stara się zwykle sumiennie wypełniać swoje obowiązki i nie zawieść położonego w niej zaufania.

Irka: A nauka i zajęcia gospodarcze, o których coś słyszałam?

Zosia: Idzie ci o naukę? To wiedz, że codziennie przyjmujemy uroczyście dwóch szanownych pedagogów, z którymi mamy lekcje przed i po południu. A co do gospodarskich zajęć to mamy spo-

sobność wykonywania ich w ogrodzie i przy stole. Dla każdej z nas jest to korzystne, gdy może się obyć bez cudzej pomocy i z wdziękiem przynosi koleżankom miłe dla podniebienia potrawy.

Irka: Ma się rozumieć! Tem wszystkiem co słyszałam o Rudawie jestem zachwycona i z radością pojechałabym tam, by wzmocnić siły fizyczne i duchowe.

* * *

Zdaje się, że wszystkie uczenice myślą tak jak Irka, i że Osiedle tak bardzo trafiło im do przekonania, że zgodnie wzniosą chóralny okrzyk: Rudawa niech żyje !!

Krysia Kornecka i Zosia Krzyżańska VII. kl

Wigilja w mieście przyszłości.

W mieście począł zapadać zwolna głośny zmrok — widać było błyskające wielkie reklamy kin, teatrzyków i firm i słychać było huczący gwar ludzki, gwizdy podziemnych kolejek, ryki aut — życie tętniło, chichotało i płakało, pędząc ciągle naprzód.

Ryczące megafony obwieszczały, że Francja uczyniła nowy wynalazek na polu sztucznego ogrzewania ulic, że parlament włoski ponownie zwołano i t. d. To była gazeta miasta przyszłości—dzienniki, codzienne stały się już dawno przeżytkiem.

Po ulicach rozciągały się liljowe mroki, chociaż niebo jaśniało jeszcze pełne ciepła. Dzień, a raczej wieczór ów był jak każdy inny ponad miarę męczący, zapracowany, żyjący chwilą.—

Tylko ludzie, zajęci handlowemi interesami, wiedzieli, że to grudzień. Nikt natomiast nie pamiętał, że był to dzień, w którym niegdyś obchodzono wilje — święto dziwnie naiwne i porzucone od lat wielu. —

Nie mieli ludzie przyszłości czasu na owe z dawnych lat dziecinne sentymenty. U żadnej z rodzin — mieszkańców miljonowego miasta nie przygotowywano wigilijnej wieczerzy, nie zapalano świec



Ulina Przychocka kl. VI.

na zielonych drzewkach, aby zapalić ogromne świece radości w sercach dziecinie.

Pierwsza gwiazda wzeszła... Jeszcze kilkanaście lat temu była to chwila radosna — lecz dziś nikt o tem nie myślał. W całem mieście aż drżały druty telefonów od rozmów: załatwiano sprawy exportu drzewa i węgla, zamawiano wielkie dostawy dla fabryk samochodów— w ogromnych salach gdzie wszystkie sklepy były razem umieszczone jako spółki akcyjne, sprzedawano i kupowano — wir— straszny wir..

A nad huczącem miastem płonęła spokojnie pierwsza wigilijna gwiazda.—

Nie mogły jej widzieć żadne oczy, bo wszystkie uporczywie skierowane były w ziemię — zapomniano o słodkich hasłach miłosierdzia, a wspaniale wybudowane szpitale i domy dla ubogich były tylko dowodem silnej organizacji. Kapitałem obracano przemyślnie i ciągle, aż wyrósł w olbrzyma — i tworzył cuda.

Ale kiedy elektryczne lampy oświetliły krzyczące ulice ruch wzmógł się jeszcze, kiedy megafony wrzeszczały po raz setny swoje wiadomości europejskie, kiedy wytworne auta długiemi sznurami poczęły się zatrzymywać przed nocnemi lokalami — zjawił się Nieoczekiwany Przybysz.

Szedł wolno, krok za krokiem jak pod brzemieniem krzyża. Patrzył na spokojną gwiazdę na czerwonem od łun niebie i czuł sercem ponowne konanie. Ale kiedy tak szedł z twarzą podniesioną ku niebu, zaczęli się nim interesować ludzie. Ten i ów przystanął i spojrzał w górę. Gwiazda świeciła jasno jak to wszystko co jest wieczne i wielkie, i trwoga dziwna poczęła ludzi ogarniać. Już nietylko piesi patrzeli w górę, ale poczęły zatrzymywać i auta.

Nie przenikniona ciżba głów podniesionych do góry wzrastała ciągle. Patrzano w niebo ku wielkiej gwieździe i na twarz owego człowieka. Była ona przemądra, lecz ponad miarę smutna, smutkiem wielkim — twarz jak gdyby kiedyś, kiedyś widziana i droższa serce od wszystkich innych.

Z oczu przybysza poczęły padać wielkie łzy — zamarło w ciszy całe miasto, stanęły auta i kolejki, nie migotały reklamy, zamilkły megafony.

Ludzie małych serc — powiedział Przybysz— zapomnieliście o wszystkiem co boskie. Jeszcze w ciszy nie przebrzmiał głos Jego

kiedy okrzyki poczęły brzmieć z miljona piersi „wigilja, wigilja“.— Padano na kolana ku owej gwieździe wyciągając ręce: wigilja, wigilja —to jutro Bóg się rodzi!

Wigilja wigilja.

Łzy Przybysza obmysły zastygłe serca i miasto przyszłości uczciło wigilję. Lecz byli tacy co mówili długo potem: — Czemuż aż Pan zejść musiał drugi raz na ziemię, czyż nie zapalił nam Swej gwiazdy, aby do nas mówiła?

I patrzeli często w niebo.

Wicula Wodzinowska.

Zima.

Śmieją się do mnie pola
Cudowną, śnieżną bielą...
Dropne igiełki szronu
Pod stopy mi się ścielą.

Śmieje się słodko słońce
Złotem promiennych smug...
A Cisza tutaj przyszła
Gdzieś od rozstajnych dróg.

W dziwacznych splotach drzewa
Chwiciły się za ręce,
Poważny świerk zielony
Z brzozą w białej sukience.

A od dalekiej drogi
Gdzieś sanki dzwonią w dal...
Dźwięk jasny i przejrzysty
Z powietrznych płynie fal.

*
* *

Tak jest cudownie wkoło,
Że smutki poszły precz...
Myślę, że taka zima
To jednak dobra rzecz.

Mysza.



J. Kuchcińska.

Kronika.

I. Poświęcenie Osiedla było uroczystością, która blaskiem swym przyćmiła wszelkie inne szkolne zdarzenia. Był to prześliczny jesienny poranek, jeden z tych ostatnich „darowanych“ dni, kiedy słońce stara się swemi złocistemi promieniami złagodzić szarzyznę ugorów i bezlistnych drzew, zanim całun śniegu pokryje wszystko swą niepokalaną bielą.

Ożywiony ruch panował od samego rana w willi „pod Wieżyczką“. Ostatnie przygotowania do tej uroczystości były już na ukończeniu. Miły ten obowiązek spadł na nas ósmaczki, któreśmy na tydzień wcześniej przyjechały do Rudawy. Panowała jeszcze gorączkowa krzątanina, aby goście zastali wszystko w należytym porządku; my ósmaczki byłyśmy teraz gospodyniami i rola ta napełniała nas dumą. Z niecierpliwością oczekiwałyśmy przybycia pociągu. Wreszcie ukazał się połyskujący w blaskaeh słońca srebrny orzeł naszego kochanego sztandaru; za nim podążały wszystkie uczennice.

Uroczystość zaszczycili swojem przybyciem przedstawiciele kuratorjum: p. wizytatorka Chrzanowska, p. wizytator Wierzbicki, dostojne Grono Profesorskie z p. Przełożoną i p. Dyrektorem na czele, Szanowni Rodzice oraz miejscowa inteligencja. Po uroczystem nabożeństwie odprawionem przez ks. katechetę Zdebskiego, cała szkoła podążyła do naszej ukochanej willi „pod Wieżyczką“, gdzie miejscowy ks. dziekan Nowak dokonał poświęcenia osiedla, poczem przemówił serdecznie do zgromadzonych.

Po produkcjach zakładowej orkiestry mandolinistek nastąpiły przemówienia: p. wizytatora Wierzbickiego imieniem Kuratorjum, prezesa Komitetu Rodzicielskiego; p. rektora Krauze i naszego p. Dyrektora, który w podniosłych słowach podkreślili doniosłe znaczenie Wychowawcze Osiedla.

Następnie koleżanka Erika Radulanka wyraziła w paru słowach naszą wielką wdzięczność za trudy poniesione dla naszego dobra i zapewniła o naszej współpracy.

Nie zabrakło nam najbardziej nowoczesnego środka uświetnienia uroczystości: p. Dr. Piotrowski krążył na swej awjonetce nad Osiedlem, a radosny warkot motoru harmonizował z naszą „kantatą“ pióra kol. Stadnickiej.

„Co za radość“ i uciecha
Szczęście do nas się uśmiecha,
Wyjeżdżamy do Rudawy
By się uczyć wśród zabawy.
Będziem mieszkać jakby w raju
W małym domku pośród gaju,
Każda z nas z zapałem woła
Nie masz to jak nasza szkoła“.

Raz jeszcze zagrała „mistrzowska“ orkiestra pod batutą p. prof. Ciechanowskiego, Panie z Komitetu Rodzicielskiego podejmowały Szanownych Gości herbatą i przekąską, potem gremjalne zwiedzanie willi i nieodzowne zachwyty, a wreszcie willa poczęła powoli pustoszeć: niknął w dali turkot aut i gwizd pociągu, unoszącego gości, cichł gwar rozmów i entuzjastyczne okrzyki. Powoli i ociągając się zbierałyśmy nasze manatki i oddawałyśmy Osiedle siódmaczkom które z kolei obejmowały willę w swoje władanie.

Janina Piasecka VIII. kl.

II. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałyśmy sobie, że może się nam zdarzyć, iż w roku szkolnym co dwa miesiące będziemy przez tydzień na wsi i nic przez to w nauce nie utracimy. Że nie będziemy musiały w czasie deklamowania sonetów patrzeć na ściany klasy, ale, że w lesie, w potokach jesiennego słońca, będziemy

prowadziły rozprawę o wielkim Czatyrdachu. Nasze twarze w miejsce bladości i zmęczenia pokryły się zadowoleniem i rumieńcem.

Po takiej niezmiernie miłej, chociaż niekiedy niefortunnej lekcji wracamy do willi. Tu czeka nas nowe zatrudnienie, bo mamy się zająć obiadem. Część nas spaceruje na kształt elizejskich cieni nic nie mówiąc, tylko najwyżej gestykulując. Jest bowiem godzina milczenia. Sameśmy sobie to narzuciły, mimo więc, że ochota do rozmowy jest szalona, milczymy jak groby. Dyżurne wyznaczone przez wybraną przez nas przewodniczącą z małą wprawą krzątając się około obiadu. Bawi nas to nowe zajęcie a zarazem uczy.

Jeżeli pogoda dopisuje, urządzamy wycieczki, które mają na celu poznawanie okolicy, bądź też nawiązywanie kontaktu z jej mieszkańcami. Mamy w tym kierunku najlepsze chęci i będziemy się starały w czasie następnej bytności dużo zrobić.

Wyobrażamy sobie, jak miło będzie, gdy okolica naszej willi zabieli się śniegiem lub gdy rozkwitną jaśminy i bzy w naszym ogrodzie.

Będziemy mogły podziwiać naturę w każdej odmianie, bo w zimie, a potem znowu na wiosnę powrócimy do naszej Rudawy. Będziemy znowu razem. Wieczorem odmawiać będziemy modlitwę w naszej kapliczce. Znów będzie nas tak dziwnie wzruszało, gdy cichy dom zabrzmi poważną chóralną pieśnią „Wszystkie nasze". Będziemy się czuły znowu bliskie, związane węzłem przyjaźni, który się zadzierzgnął tu właśnie u stóp Matki Najświętszej.

Może znowu zgromadzimy się w hall'u, by snuć marzenia lub opowiadać sobie nawzajem niezliczone historje.

Dziwnie jakoś na łonie przyrody stajemy się lepszemi. Przebywamy z sobą całe dnie, a nigdy sprzeczka nie psuje harmonji naszego współżycia. Uczymy się wspólnie, nieraz sobie pomagając i jakoś to żwawiej i ochotniej idzie. Wydawałoby się, że zajęcia domowe zbyt nas pochłoną, że braknie nam czasu na obkuwanie różnych łacin i matematyk. Wśród tylu zajęć czas na wszystko się jakoś zawsze znalazł. Nie zapomniałyśmy nawet o gimnastyce, którą uprawiałyśmy codziennie rano, a tak porządnie jakby nie same ale pod dozorem.

Jak miłem jest Osiedle, świadczy o tem najlepiej nasza niechęć do odjazdu. Chciałybyśmy pozostać nie wiem na jak długo, i prowadzić życie „sielskie anielskie", kiedy czas nie wlecze się jak nieraz godziny w mieście. Tam żal nam było każdej chwili. Każda sekunda była dla nas drogą i nawet godziny na sen przeznaczone radebyśmy skracać.

Chciałybyśmy też, żeby chwile spędzone na Osiedlu utkwiły nam i pozostały w pamięci, byśmy kiedyś po latach, gdy szkoła taka spowszednieje, mogły opowiadać, jaki entuzjazm wzbudzał w nas Osiedle już w projekcie, a jakie czułyśmy się zadowolone po powrocie z pierwszego wypadu na wieś.

Maryla Kutnówna. kl. VII.

III. Poświęcenie Osiedla było uroczystością, która blaskiem swym przyćmiła inne wydarzenia. A jednak musimy wspomnieć koniecznie o wspaniałym filmie, który wyświetlała nam p. Maślankiewiczowa. Były to zdjęcia robione w czasie ostatniego wybuchu wulkanu Krakatoa. Na ekranie wykwitały białe fantastyczne kwiaty, potem chmury szarego dymu znowu czarodziejskie fontanny lawy.

Klasa siódma sprawiła nam wielką radość: urządziła piękny poranek listopadowy, o bogatym programie. Tak przemówienie kol. Kowalskiej jak i gra kol. Jędrzejowskiej oraz deklamacje kol. Krzyżańskiej i Traciłowskiej wywołały ogólne pochwały.

Rozrywki.

I. W jakich miastach polskich mieszkają te panie:

B. Iłotyska
W. Rzawasa
Sara Thul Kówek

Ryś II. kl.

II.

X	1) ogromny człowiek
. X	2) końcowe dni karnawału
. . X	3) mały ptaszek (żyje nad wodą)
. . . X . . .	4) część obiadowego nakrycia
. . . . X . .	5) inaczej galerja w teatrze
. . . . . X .	6) plac pod budowę domu
. X	7) kwiaty

Litery na miejscu krzyżyków dadzą aktualne rozwiązanie.

Mól.

III.

O X X X X X X X X
X O X X X X X
X X X O X X X
X X X X O
O X X X X

Znaleść 5 nazwisk polskich artystek filmowych. Litery na miejscu kółek dadzą nazwisko polskiego artysty filmowego.

Kinomanka.

Nakładem uczenic Gimnazjum im. H. Kaplińskiej w Krakowie.

Red. odpow. Jadwiga Brodowiczówna.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. – Telefon Nr. 20.